

PLANETA ZGROZY.

Tłum. MARYA SEGENY.

18

Gdy to zrobiłem, zagłębiłem w otworze sztabę i umocniłem silnie. Poczem oddarłem wielki strzęp mojej sukni pierzastej, która, jak już wspominałem, była złożona ze skórek rozmaitych ptaków, odrpłem kilka tych skórek, skrzyłem je, złączyłem i wyrobiłem z nich sznur długości dwu metrów, którego trwałość wypróbowałem, ciągnąc z całej siły. Przywiązałem ten sznur do sztaby metalowej i spuściłem się na nim, aż do zagłębienia znajdującego się podemną. Przeprawa nie była niebezpieczną dla człowieka przyzwyczajonego do ćwiczeń fizycznych, jakim ja byłem, jednakże przyznaję, że gdy znalazłem się zawieszony w powietrzu ponad tajemniczą przepaścią, zamknąłem oczy i musiałem użyć całej swojej energii i przytomności umysłu, aby nie dostać zawrotnej głowy i nie runąć w dół. Gdy dotknąłem nogami brzegu gzymsu i znalazłem punkt oparcia pomiędzy dwoma kolumnami z szafirowego kryształu, odetchnąłem z ulgą.

Po prawej i lewej stronie mieściły się dwie miseczki podobne do tej, którą znalazłem w swojej celi i obydwie były napełnione krwią świeżą.

Nie chciałem zbytniej uwagi zwracać na ten szczegół, który był może fatalnym znakiem i ostrzeżeniem; zauważyłem z radością, że te pozorne kryjówki są wejściem do licznych korytarzów, ciągnących się wokół wieży. Szedłem więc odważnie w półcieniu ścieżki spadzistej, która niedługo zaprowadziła mnie do niższej galeryi, położonej wzdłuż platformy.

Wspominałem o półcieniu, znajdowałem się rzeczywiście otoczony półmrokiem, światłem szarem, bezbarwnym, gdyż galerye oświetlone były jedynie wewnętrznym światłem, przeciskającym się przez szyby kryształowe.

Grunt galeryi owalnej, na której przebywałem, był lekko pochylony, otaczał on cały budynek wokoło i na nim skupiały się wszystkie korytarze, wychodzące ze zagłębień każdego piętra.

Zaciekawienie tą szczególną budową było tak wielkie, że pod jego wpływem zapomniałem o głodzie i pragnieniu.

Nareszcie doszedłem do piętra, gdzie nieskończona linia kolumn łączyła się prostopadle z galeryą, na której stałem i rozchodziła się na wszystkie strony.

Pomimo żywego pragnienia poznania dokładnie całej konstrukcji szklanej wieży, musiałem się zatrzymać, bo od tego miejsca galerya tonęła już w zupełnej ciemności. A przytem wstrząsnął mną lęk nagły. Obawiałem się, że to szatanskie spiralne zejście ciągnąć się tak może w nieskończoność i mogłem tak kręcić się bez skutku długie godziny bez nadziei wyjścia.

Boczne galerye pociągały mnie silniej. Na końcu ich dostrzegłem łagodne różowe światło, jak gdyby refleks roznieconego ognia gdzieś w dali, ale galerye te były tak liczne, że stanąłem niezdeterminowany, nie wiedząc którą z nich wybrać, bo lękałem się zabłądzić w tym olbrzymim labiryncie. Po chwili namysłu zdałem się na los szczęścia i wszedłem w galeryę, znajdującą się najbliżej mnie.

Zeszedłem najprzód przez szkarpy dosyć pochyłe i znalazłem się w wysokiej sali, na widok której stanąłem zdumiony. Przez olbrzymie ściany przezroczystego jak liza kryształu, obramione wysokimi kolumnami z czerwonego metalu, rozciągał się przedemną cudowny pejzaż. Gaiki białego i różowego koralu mieszały się ze złotem łanami poryjających sargassów, alg morskich i fikusów w rozlicznych odcieniach. Przepyszne wodne kwiaty unosiły się nad gęstwiną liścia, przypominając mi bogatą i rozkoszną florę Afryki południowej.

Na niektórych krzewach alg widziałem owoce, podobne do ananasów i bananów z naszych ziemskich krajów. Podobnie jednak olbrzymich kwiatów o tak żywym i czystym kolorycie niespodziewałem się nigdy ujrzeć. Były takie, które miały przeszło metr średnicy. Wokoło nich wdzięcznymi festonami owijały się purpurowe jak krew liany.

Trochę na uboczu wznosił się las gigantycznych

fikusów o pniach okrągłych i gładkich, rozpościerających lśniące bursztynowe liście, podobne do wachlarzów, lśniących i poruszających się nerwowo za najlżejszym podmuchem wiatru.

Ale jeden szczegół najwięcej zwrócił moją uwagę i wprowadził w niemałe zdumienie i ciekawość. — Wszystkie te przepyszne wodne rośliny i krzewy rosły w symetrycznym oddaleniu od siebie, wykluczając wszelką możliwość przypadku. Składały się one z alei i klombów o równych, wymierzonych liniach. Przypominam sobie teraz o gąszczu alg, o długich żółtych kwiatach i dziwnie pokręconych liściach, które z oddali robiły wrażenie ładu dojrzalego zboża.

Niektóre krzewy o gałązkach puszystych nosiły, jak się mnie zdawało, ślady nożyc ogrodnika, a ścieżki i aleje posypane różowym piaskiem utrzymane były starannie. Podwodna zaś głębia dawała oku wszelkie urozmaicenie. Duże ryby o pletwach i łuskach z błękitu i złota igrały w algach lub sunęły szybko jak błyskawice pomiędzy krzewami koralu. Olbrzymie mięczaki, takie, jakie już spotykałem w pierwszych dniach pobytu mojego na Marsie, pełzały z powagą po piasku. Tęczowe świtezianki wielkości naszego gołębia unosiły się z cichem brzęczeniem srebrzystych skrzydeł. Widziałem żółwie bardzo mało różniące się wielkością i kolorem od ziemskich, szczypiące spokojnie trawę. Szmaragdowe i różowe jaszczurki o ruchach gibkich żmii wypełzały z pod krzewów, uganiając za mikroskopijnymi rybkami.

Miałem przed sobą olbrzymie i najoryginalniejsze akwaryum. Byłem głęboko przejęty i wzruszony. Zrozumiałem, że tym razem znajdowałem się wobec wysokiej cywilizacji, którą spodziewałem się zawsze spotkać na Marsie. Wszystko to, co widziałem, nosiło na sobie widzialne ślady wyrafinowanego postępu.

Zapomniałem na chwilę o dzikich zwierzętach i potworach, z jakimi miałem do czynienia, duszę moją rozpiekało radosne uczucie i zadowolenie na myśl, że dopuszczony byłem do podziwiania tej nieznannej twórczości intelektualnej.

Ci, którzy stworzyli pod wodami morza ten park bajeczny i wybudowali kolosalną wieżę kryształową, musieli być ludźmi wysokiej inteligencji. Nie dziwiłem się już teraz, że zachowali mi życie i pozostawili wolność. Byłem zachwycony i spokojny, nie wątpiąc już w lepszą przyszłość. Z tą spokojną wiarą, którą daje kult idei i wiedzy, byłem przekonany, że przez tych ludzi dobrze przyjęty zostanę. Nauczę się ich języka i wtajemniczę ich w cały zasób mojej wiedzy, nauczę ich poznać Ziemię, opowiem im historię ras ludzkich i wysokie przeznaczenie narodów.

Jakże dalekim byłem teraz od zniechęcenia i apatii ubiegłych dni! Nowe życie i nowe nadzieje wstępowały do mojej duszy!

Nie mogłem oderwać spojrzenia od tego zaczerpniętego widoku, który mi hojnie wynagradzał przebyte cierpienia i niebezpieczeństwa.

Nagle, na zakręcie ładu fikusów ujrzałem postać ludzką. Człowiek ten był małego wzrostu, ciało jego przysadkowate, członki grube i krótkie, jednakże chód jego odznaczał się jakimś silnym, żywiołowym wdziękiem. Ciało jego było całkiem pokryte ciemnym włosem, przypominającym fokę lub wydrę morską. Tylko twarz i ręce pokryte były drobnymi, błyszczącymi łuskami, pod którymi jednak dojrzałem zarys rysów i białosć skóry. Niektóre choroby wywołują taką przemianę.

Przypomniałem sobie wówczas twierdzenie pewnego lekarza z dawnych czasów o pewnej chorobie skórnej, która często nawiedza marynarzy, przebywających długi czas na wodach i których pożywienie składa się wyłącznie z ryb solonych.

„Pewien rodzaj trądu — utrzymuje on — jest objawem choroby, spotykanej w akwatorycznym środowisku, jest to fenomen bardzo naturalny, który wskazuje, że w pewnych warunkach twarz ludzka musi się pokryć łuskami“.

Zastanawiałem się głęboko, gdyż i ja byłem zdania, że każda choroba większa jest tylko przejściem do nowej ewolucji człowieka, do stanu doskonalszego, lub też tylko odmiennego. Nigdy jeszcze w ciągu moich badań naukowych i poszukiwań nie doświadczyłem takiego zainteresowania, jak obecnie.

Długo i przenikliwie badałem powierzchowność tego człowieka, tak, że dziś jeszcze najdrobniejsze

szczegóły anatomiczne zachowałem wyraźnie w pamięci. Długie jego palce, zakończone krótkimi pazurami o sinej barwie, złączone były pletwą, która zapewne ułatwiała mu pływanie, lecz która nie odbierała jego ręką sprawności zwykłej ludzkim palcom. Oczy brunatne i jasne nie posiadały tępego i martwego wyrazu źrenic ryb, pozbawionych powiek, wyrażały one inteligencję i rozum, jak te amfibie, o których wspomina Michelet, tak podobne do ludzkich istot, a które tak łatwo przyswoić można i natchnąć czuciem.

Zastanawiałem się, jakim sposobem człowiek ten mógł żyć pod wodą i oddychać, nie posiadając skrzeli, jak ryby.

Podczas gdy poddawałem się tym rozmyśleniom, człowiek wodny podszedł powoli do ściany kryształowej, poza którą byłem ukryty. Zauważyłem wówczas, że trzymał w dłoni pręt z czerwonego metalu, lekko zakrzywiony w pośrodku, i na którym wspierał się, jak na lasce.

Z profilem swoim ostrym, owłosieniem brunatnym i cienkimi, długimi wąsami czynił wrażenie olbrzymiego kota o ludzkiej twarzy. Od czasu do czasu przystawał i spoglądał w tył, jak gdyby oczekując przybycia kogoś.

Znalazłem natychmiast wyjaśnienie jego zachowania. Zwierzę, podobne równocześnie do foki i wydry, a które jednak posiadało duży spłaszczony dziób, podbiegło do niego, podskakując radośnie. Po chwili już zwierzę to posuwało się pełzając, pilnie upatrując jakąś zdobycz; zrozumiałem, że człowiek morski polował, a jego towarzysz zastępował mu psa do tropienia zwierzyny.

Nagle olbrzymia dzika ryba wyskoczyła z pod krzaka mchu wodnego. Wydra w kilku elastycznych susach podbiegła do niej, ale już zapóźno! Zwierzyna uciekała, posługując się zręcznością szeroko rozwiniętymi skrzelami. Wówczas człowiek rzucił przed siebie pręt metalowy, trzymany w ręce. Bez widocznego wysiłku ze strony myśliwego broń zakreśliła półkole, doszła do upatrzonej ofiary, ugodziła w nią silnie i powróciła posłusznie do ręki swego właściciela.

Ryba, właściwie rodzaj psa morskiego, upadła śmiertelnie ugodzona, wydra dobiła ją kilkoma uderzeniami ostrych pazurów i przyniosła z oznakami wielkiego zadowolenia do stóp morskiego człowieka. Najlepszy pies myśliwski nie byłby się lepiej sprawił. Myśliwy podjął zwierzynę i włożył ją do siatki, przewieszanej przez ramię, która, jak mi się zdawało na pierwszy rzut oka, była spleciona z włókien byssusa, z którego w Sycylii wyrabiają bardzo trwałe tkaniny.

Byłem zdumiony tą sceną życia podwodnego, którą podchwyciłem tak niespodziewanie. Zdałem sobie łatwo sprawę z czynności metalowej broni, która działała analogicznie z „boomerangiem“ dzikich plemion australskich, powracającym do ręki, która kierowała.

Człowiek morski postąpił kilka kroków ku mnie, ujrzałem, że sieć jego zawiera już inne zdobycze, ryby i owoce podobne do ananasów, które wydawały drzewa o liliowym liściu i łodygach twarde jak kolczastych.

Szedł powoli, kierując się do szyby, z poza której obserwowałem go dokładnie, twarz jego wyrażała podnieconą ciekawość. Wkrótce rozdzielała nas już tylko ściana kryształowa.

Długą chwilę patrzeliśmy na siebie w milczeniu i nagle, z czego nie mogłem sobie zdać sprawy, człowiek morski zaczął objawiać wielki przestach i wzburzenie. Zapewne nigdy jeszcze nie widział istotę do mnie podobną, całe ciało jego przebiegało nerwowe drżenie i zdawał się nie widzieć, ani rozumieć uśmiechu i przyjaznych ruchów, z jakimi się do niego zwróciłem. Wkońcu odwrócił się szybko i uciekł.

Stałem chwilę na miejscu nieruchomy i zaskoczony, gubiąc się w domysłach, nie wiedząc co dalej zrobić ze sobą. Nie przypuszczałem, aby ten człowiek mógł się mnie przestraszyć i widok ten dotknął mnie nieprzyjemnie. Po chwili postanowiłem zagłębić się dalej w szklaną galeryę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Jedyny w Krakowie, Zakład pogrzebowy „Concordia“ Jana Wolnego
który posiada
własny wyrób trumien **==** **Kraków, Plac Szczepański L. 2 (dom własny)** **==** **Telefon Nr. 331.**